Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4.
w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 35.

dnia 31. Lipca 1881.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . . 2 zł.
półrocznie . . . . 4 zł.
rocznie . . . . . 8 zł.

ZDRAJCA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA W DWÓCH TOMACH

przez Autora „*Marzycieli*“

Tom II.

(Ciąg dalszy).

Odpowiedziawszy przynajmniej w głównych zarysach na pierwsze dwa pytania, które sobie na początku niniejszego listu postawiłem, uważam teraz za konieczne spojrzeć na sprawę żydowską z punktu widzenia jak dotąd całkiem jeszcze nowego, który ośmielę się nazwać moim własnym.

Żydzi głównie dla tego są dla ludzkości niebezpieczni, że jako żywioł według naszych pojęć niecywilizacyjny, nie tylko nie przyczyniają się do wzrostu cywilizacji chrześcijańskiej, lecz co nierównie gorsze, usiłują ją rozbić i zniszczyć.

Pozwól WPanie bym to twierdzenie uzasadnił. Sądzę, że przyznasz Pan wraz ze mną, iż taki tylko naród zasługuje na nazwę prawdziwie cywilizowanego, w którym wszechstronny rozwój jednostki, postępuje równolegle z rozwojem społeczeństwa; w którym silna organizacja państwowa, zabezpiecza wolność indywidualną; w którym uobywatelenie wszystkich członków odbywa się prawidłowo; w którym dobrobyt każdemu uczyć się pozwala, w którym nakoniec pojawiają się często ludzie genjalni, przyświecający ludzkości rozumem, piórem, pędzlem lub dłutem. Państwa tak cywilizowane, widzimy tylko w świecie chrześcijańskim. Pochodzi to ztąd, że kościół Chrystusa, bez względu czy się nazywał rzymskim, czy wschodnim, mimo iż chwilowo nie raz swobodnemu rozwojowi ludzkości przeszkody stawiał, prędko z tego się otrząsał, i przyczyniając się sam do rozwoju cywilizacji, nie dopuszczał, żeby po nad wszystkiem jedna tylko zasada górowała. Dzięki temu, w świecie chrześcijańskim nie zapanowała bezwzględnie ani arystokracja ani demokracja, ani świecka władza absolutna, ani teokracja. Owszem wszystkie te zasady widzimy w ciągłej z sobą walce, z której rodzi się rozmaitość, będąca najpiękniejszym życia obrazem.

Inaczej działo się w świecie starożytnym. Tam krom jednej Grecji, której życie cywilizacyjne na krótko zajaśniało, widzimy, że wszędzie przeważa jedna tylko idea, która w koło siebie wszystko pochłania.

W Egipcie i Indjach była nią idea teokratyczna, w Rzymie, że się tak wyrażę państwowa. Następstwem tego była martwota. Gdzie kapłani stali na straży wszelkiej mądrości, zazdrośnie przestrzegając, by broń Boże naród czegoś się nie dowiedział, jak w Indjach i Egipcie, lub gdzie państwo, jak w Rzymie, żądało od obywatela, by dla jego dobra wyrzekł się swojej indywidualności, tam o cywilizacji wszechstronnej, prawdziwej, takiej jak dzisiejsza, mowy być nie mogło. Taką samą martwotę, będącą skutkiem tych samych przyczyn, widzimy dziś jeszcze w Chinach, taką samą martwotę niosą z sobą żydzi.

A dla czego?

Rasa semicka hołduje przedewszystkiem skrajnemu realizmowi. Ona nie goni na wzór innych za tem co piękne i wzniosłe, lecz szuka głównie tego, co dla niej dobre i pożyteczne. Ztąd namiętne pragnienie bogactw, boć tylko one mogą zrobić życie wygodnem i spokojnem. Zechciej teraz WPanie powiedzieć, coby się stało z naszą, chrześcijańską cywilizacją, jeźliby materjalizm judaizmu między nami zapanował? Czyż wtedy ta cywilizacja, która jest

chlubą tylu wieków i tylu pokoleń, nie musiałaby runąć? Czyż wtedy nie zapanowałaby martwota, spowodowana zwycięztwem idei materjalnej, która dla swej jednostronności uniemożliwiłaby rozwój dotychczasowy?

Może powiesz Panie, że się tego obawiać nie potrzebujemy, ponieważ posiadamy jeszcze dość sił żywotnych, żeby naciskowi zaporę postawić. Przyznam się niestety, że ja się tak różowo na to nie zapatruję. Wpływu ducha żydowskiego nierównie mniej bym się obawiał, gdyby żydzi nie byli rządzeni teokratycznie. Historja uczy, że państwa teokratyczne, gdzie w ręku władzy najwyższej jest nie tylko ciało lecz i duch poddanych, że takie państwa najdłużej istniały. Dzięki też idei teokratycznej, żydzi pozostali do dnia dzisiejszego takimi, jakimi byli wówczas, gdy ich z Jeruzalem wypędzano, i dzięki jej, tworzą oni ciągle zwartą falangę, która klinem wbija się w organizm społeczeństw europejskich, grożąc mu rozsadzeniem. Czyż mnie to nie ma przerażać?

Zapytasz mnie Pan może teraz, cobym radził przeciw żydom przedsięwziąć. Na to odpowiem, że działać mogą tu tylko rządy, które mają siłę. Gdy ocean grozi zalaniem brzegów, przezorni ludzie sypią tamy, aby zabezpieczyć siebie i swoje mienie. Jeżeli rządy chrześcijańskie nie pomyślą o takiej tamie w obec rasy semickiej, bardzo się obawiam, że ludy, które już na ucisk szemrać zaczynają, zerwą się kiedyś do straszliwego odwetu!

Jako chrześcijanin, którego uczono kochać bliźniego jak siebie samego, chętnie tych z pomiędzy żydów, którzy wyrzeką się realizmu semickiego, a przejmą się miłością chrześcijańską, uznam za moich braci; wszelako dla tych, którzy zechcą nadal żyć odrębnie, a więc w y j ą t k o w o, domagać się będę ustaw w y j ą t k o w y c h.

W inny sposób sprawy żydowskiej nie można rozwiązać.

Sądzę WPanie, że list niniejszy dostatecznie usprawiedliwił stanowisko, zajęte przez moją gazetę w sprawie żydowskiej. Nie taję, że jestem waszym przeciwnikiem zasadniczym, a jestem nim dla tego, że się was boję. Boję się zaś nie ze względu na mnie, sam bowiem potrafiłbym się ochronić od wpływu judaizmu, lecz przez wzgląd na cały świat chrześcijański i jego cywilizację, której duch rasy semickiej przysiągł zagładę.

Żydzi wycinając niegdyś w pień słabsze od siebie ludy, hołdowali zasadzie: *Salus populi, suprema lex esto!* Jakkolwiek tej zasady nie raz nadużyto, ja sam w obawie, by złe jak ów ocean, który na brzegi się wdziera, nie zalało nas i nie pochłonęło, domagając się ochrony dla świata chrześcijańskiego, ośmielę się także zawołać: *Salus populi, suprema lex esto!*

W nadziei, że otwartość moja nie obraziła Cię Panie, kończę i kreślę się z winnym szacunkiem, Dr. Ryszard Gozdawa, redaktor *Przyszłości.*

Po ukazaniu się listu powyższego, w mieście o niczem do północy nie mówiono, tylko o nim. Wprawdzie najznakomitsze artykuły pism codziennych przychodzą na świat z suchotami, skutkiem czego do 24 godzin umierają w pamięci czytelników, wprawdzie i list naszego przyjaciela miał niebawem utonąć w tej bezdennej otchłani milczenia, która pożera tak plewę jak perły dziennikarskie, lecz z drugiej strony Ryszarda spotkała przynajmniej ta nagroda, że ospałe społeczeństwo, wśród którego żył i pracował, bodaj chwilowo było zgalwanizowane.

Na ulicach wyrywano *Przyszłość* kolporterom, w lokalach publicznych o niej mówiono, nawet w kole rodzinnem ojciec opowiadał żonie i dzieciom, co się tego dnia w mieście stało. Tak powszechne zajęcie było jawnym dowodem, że sprawę żydowską i w Galicji wszyscy za ważną poczytują, a jeżeli nią się nie zajmują, to li dla tego, że polskie: „Jakoś tam będzie“ po nad wszystkiem góruje.

Wstąpmy na chwilę do cukierni, w której na środku głównej sali stoi mężczyzna siwy i poważny, a dokoła niego skupiło się kilkunastu mężczyzn starszych i młodszych. Między nimi jest najhałaśliwszym Moses Silberstein, reporter *Teraźniejszości.* Wykrzykuje on na *Przyszłość*, złorzeczy jej redaktorowi i odwet zapowiada.

— Jeźli mu się zdaje — woła — że żydzi grożą mieszkańcom Galicji, to niech ci mieszkańcy będą tak samo jak oni solidarni, zapobiegliwi, oszczędni, trzeźwi i mało wymagający, a nie będą potrzebowali ich się obawiać. Przecie sam Staszic powiedział, że Żydzi są niebezpieczni tylko dla narodów próżniaczych, a między pracowitymi nie mogą się nigdzie utrzymać.

— Teorja panie dobrodzieju, teorja! — staruszek odpowiedział. — Przecie nikt nie zaprzeczy, że Francuzi i Niemcy mają wszystkie te przymioty,

o których pan dobrodziej wspomniałeś, a mimo to cesarz Napoleon musiał ich łamać prawami wyjątkowemi, Niemcy zaś właśnie teraz krzyczą najgłośniej, że giną w uścisku rasy semickiej. A wiecie panowie zkąd to pochodzi? Jeźli pozwolicie, ja wam to poprostu wytłumaczę.

— Prosimy! Prosimy!

— Wyobraźcie sobie panowie człowieka, który od dziecka kształci w sobie jedną tylko zdolność, naprzykład pamięć. Do jakich rezultatów doprowadzi on po latach kilkunastu? Oto bez wątpienia pokona wszystkich tą zdolnością. Wyobraźmy sobie, że ten człowiek żeni się, i potem jego dzieci, wnuki, prawnuki o niczem innem nie myślą, tylko o kształceniu pamięci. Po latach stu, dwustu, trzystu, powstało by w ten sposób z pewnością pokolenie z taką pamięcią, że na tem polu nikt by z niem nie mógł współzawodnictwa wytrzymać. Żydzi, moi panowie, od kilku tysięcy lat rozwijają w sobie przebiegłość, aby przy jej pomocy poznawać słabości innych narodów i ztąd ciągnąć korzyści dla siebie. Możnaż się teraz dziwić, że na tem polu są oni niezwyciężeni?

Staruszek, który to mówił, był marszałkiem powiatowym we wschodniej Galicji i uchodził za człowieka rozumnego. Na jego uwagi, które snać trafiły do przekonania zebranych, w pierwszej chwili nikt nie odpowiedział, dopiero po namyśle Silberstein zawołał:

— A gdzie panie marszałku miłość chrześcijańska, która każe bliźniego kochać?

— Wy panowie — odparł zapytany — ilekroć idzie o wasz interes, lubicie odwoływać się to do miłości chrześcijańskiej, to do nietolerancji judaizmu, boć w waszych oczach wszystko dobre co pożyteczne... Nie sądź jednak pan, żeby i w miłości chrześcijańskiej pewnych różnic nie było. Jeźlibym naprzykład, stanąwszy przed samym papieżem, w te słowa doń przemówił: Ojcze święty, powiedz mi, kogo mam szczerzej kochać, czy mego brata rodzonego, który mi nic złego nie zrobił, czy też przybysza, który chce pożreć mój dobytek i chatę mi spalić? — chwili nie wątpię, że sam papież kazał by mi szczerzej brata kochać... Tym bratem jest nam nasz własny naród, złączony z nami krwią i pojęciami, a przybyszem, który nam grozi, są żydzi... I my, aby obcemu się przypodobać, mamyż naszego brata na łup mu wydać?

— Lecz tak samo i obcego nie godzi się prześladować! — ktoś zauważył.

— Ależ ja w liście pana Gozdawy nie mogę się nigdzie dopatrzeć chęci prześladowania żydów. Wszak on tylko zwraca uwagę kraju na grożące mu niebezpieczeństwo i jeżeli mówi, że rasa semicka mogłaby zabić cywilizację europejską, ma słuszność zupełną. Cywilizację chrześcijańską, na miłości opartą, ośmielę się porównać z ogniem, który wszystko oświeca i ogrzewa, materjalizm zaś żydowski z wodą, która wszystko zalewa. A czyż woda nie zwycięża zawsze w walce z tym drugim żywiołem? Ogień wody nie spali, zwłaszcza gdy głęboka, przeciw niej trzeba tam... Dziwi mnie moi panowie, że żaden z tych badaczów, którzy zajmują się sprawą żydowską, aby ją lepiej poznać, nie przyjechał w moje strony, gdzie Ormjanie mieszkają. Jak wiecie, Ormjanie są także odłamem rasy semickiej, a mimo iż mają prawie takie same co my zamiłowania, gdyż lubią pasterstwo i rolnictwo, mimo że od wieków przez religję zbliżyli się do cywilizacji chrześcijańskiej, mimo że wyrzekli się języka swego i Polakami zostali — mimo to do dnia dzisiejszego nie są żywiołem cywilizacyjnym. Czy słyszał kto, aby Ormjanie oddawali się naukom, sztukom, aby o wyższych celach marzyli i dla nich się poświęcali? Oni są przedewszystkiem praktyczni, gdyż realizm przeważa w ich charakterze. Jeżli więc realna rasa semicka nawet w Ormjanach, którzy się całkiem wynarodowili, nie straciła dotąd charakterystycznych swoich znamion, to jakże chcecie panowie, by je straciła w żydach, których religja i rządów forma teokratyczna w odrębności utrzymują?

Po tych słowach wszczął się gwar niemały. Jedni słuszność mu przyznawali, drudzy twierdzili, że marszałek Ormjanom ubliża, którzy są przecie dobrymi Polakami. Gdy po niejakim czasie uspokoiło się w sali, jeden ze starszych tak przemówił:

— Chociaż pan marszałek jako szlachcic pochwala list Gozdawy, który jest także dobrym karmazynem, nie sądzę byś pan równocześnie chciał utrzymywać, że list ten jest polityczny... Czy godzi się drażnić izraelitów w przededniu wyborów do Rady państwa, kiedy ich poparcia będziemy potrzebowali?

Marszałek ramionami wzruszył.

— Co do tego, macie panowie zupełną rację... List może być z prawdą zgodny, lecz nie da się

zaprzeczyć, że jest niepolityczny i niepraktyczny... Jabym go był z pewnością nie ogłaszał.

To powiedziawszy wyszedł.

— Pewnie że nie jest praktyczny, a co niepraktyczne, to zgubne! — zawołał Silberstein. — Marszałek najlepiej to osądził, a osądziwszy potępił!

W cukierni zaczęto znowu rozprawiać, hałasować, walczyć o zasady i przekonania. Skończyło się zaś na tem, że większość przyznała Silbersteinowi słuszność zupełną, poczem na znak ogólnego oburzenia w przytomności osób kilkudziesięciu *Przyszłość* spalono.

Nazajutrz w *Teraźniejszości*, która jeszcze ciągle z obawy, by rywalce rozgłosu nie robić, nie wymieniała jej nazwiska, p. Walery Żylewicz napisał:

„Wczoraj miasto nasze było w najwyższym stopniu oburzone pojawieniem się ostatniego numeru pewnej szmaty dziennikarskiej, której nikt nie czyta, a w której jej redaktor naczelny z bezczelnością przechodzącą wszelkie granice, rzucił się na naszych braci wyznania mojżeszowego. Tylko nieuk mógł takie brednie powypisywać, tylko w pałce niedowarzonej mogły się takie myśli zrodzić! Nie wdajemy się w polemikę, szmata bowiem, o której mówimy, nie zasługuje na poważną odprawę, jedynie zaznaczamy fakt nadzwyczaj przyjemny, że publiczność sama, oburzona na reakcjonistę, pismo jego paliła ostentacyjnie w lokalach publicznych. Nareszcie i w społeczeństwie naszem zaczyna się prawdziwa godność budzić!“

Po ogłoszeniu tego artykuliku w łamach *Teraźniejszości*, powszechnie zaczęto utrzymywać, że Ryszard Gozdawa jest niebezpiecznym reakcjonistą...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

HISTORJA PARYŻANKI

najnowsza powieść Oktawjusza Feuillet.

(Ciąg dalszy).

Postawa zasłuchanej Joanny była zachwycającą: trochę naprzód podana, wpatrywała się w mówiącego szeroko roztwartemi źrenicami, a jak gdyby za uderzeniem jego rószczki czarodziejskiej, wytrysnęło dla niej ze skały źródło wszelkiej rozkoszy, poruszała lekko ustami, niby pragnąc się napić z niego.

Gdy skończył, spostrzegł, iż młoda kobieta ociera nieznacznie dwie grube łzy, po licu zwolna spływające. Sam wielce zmięszany, uczuciem dziwnie sympatycznem czując się ku niej pociągnięty, ruchem bezmyślnym dłoń jej podał.

Joanna cofnęła swoją delikatnie i zrobiła minkę poważną.

— Przepraszam! — rzekł na to. — Myślałem, iż zostaliśmy przyjaciółmi?

— Jeszcze nie! — szepnęła.

— Nie ufasz mi pani? Czyż wyglądam na człowieka, który przyszedł aby się do pani umizgać?

— Każdy ma swój sposób — uśmiechnęła się smutno.

— Przyznaj pani jednak, iż moja metoda, byłaby co najmniej szczególną.

Drżącą ręką zaczął się bawić frenzlą od nakrycia stołu. Wzrok jego zatrzymał się na fotografji małego Roberta, porwał ją żywo i wpatrzył się w nią uważnie.

— Ładny mój syn, nieprawdaż? — spytała młoda kobieta.

— Śliczny! — Dla czegoś go pani wzięła przed chwilą na ręce, gdym wchodził?

— Ah! nie wiem... przypadkiem!...

— Nie, to nie stało się przypadkiem... Chciałaś mi pani tem zapowiedzieć: „Jeżeli przychodzisz jako przyjaciel, to co innego... Jeżeli jako zakochany, oto moja odpowiedź!“

— Prawda... A czy nie dobra?

— Najlepsza w świecie — odrzekł Jerzy głosem lekko drżącym — i jeżeli co mnie dziwi — mówił dalej z niezwykłem ożywieniem — to właśnie ta okoliczność uderzająca, iż kobiet bliskich upadku, nie zatrzymuje nad brzegiem przepaści myśl o ich synie... czyż przypuszczają, iż głos publiczny nigdy nie zdradzi przed synem tajemnicy ich prowadzenia się lekkiego, lub nawet występnego?... Ależ tracąc cześć dla matki, wszystko traci naraz... wszystko w koło niego w gruzy się rozpada... Skoro traci wiarę w matkę swoją, w cóż ma już wierzyć na świecie!... Jest to życie na wieki złamane! Ah! gdyby kobiety mogły widzieć co się dzieje w sercu takiego syna nieszczęśliwego... w chwili gdy się dowiaduje... gdy zaczyna posądzać, iż jego matka....

Pan Lerne ustał nagle, głos mu stłumiło łkanie gwałtowne.

Zrobił ruch niemy człowieka zrozpaczonego, iż nie mógł opanować wzruszenia, odwrócił głowę i zakrył dłonią oczy.

Joanna słyszała wraz z innymi o młodości zbyt lekkiej hrabiny de Lerne. Zrozumiała.

Nastała chwila przykrego milczenia. Nagle zerwała się pani de Maurecamps z fotelu, zbliżyła się o krok do młodego człowieka i obie dłonie ku niemu wyciągnęła.

Powstał również; skrzyżowały się ich spojrzenia. Uścisnął serdecznie ręce sobie podane, ukłonił się i wyszedł.

Po tem nagłem odejściu, pani de Maurecamps stała chwilę nieruchoma — postąpiła chwiejąc się kilka kroków naprzód i upadła w końcu na najbliższą kanapkę; pogrążyła się następnie w głęboką zadumę; na jednej

dłoni opierając swoją piękną, czarną główkę, drugą ocierała od czasu do czasu, łzy spływające obficie wzdłuż licow. — Dla czegoż płakała? W dziwnym nastroju i zamęcie, w który ją powyższa scena wtrąciła, sama sobie sprawy z tych łez zdać nie umiała.

Na odgłos dzwonka w przedpokoju zmarszczyła brwi lekko, za chwilę później lokaj otwierał drzwi panu de Monthélin.

— Maurecamps powiedział mi, iż pani cały wieczór w domu przepędzasz, ośmieliłem się więc...

— Ah! to grzecznie bardzo... Ogrzej że się pan trochę przed kominkiem.

Jeden rzut oka wystarczył panu de Monthélin, aby sprawdzić fakt, iż Joanna płakała. Nie pierwszy to raz w życiu spostrzegał on podobne objawy, u kobiety przez męża opuszczonej, i miał zwyczaj, nie bez przyczyny, wnosić z tego, iż jego sprawy osobiste, są na najlepszej drodze. Zdarzyło się właśnie w tym czasie, iż baron de Maurecamps, opuściwszy balet, nie krył się bynajmniej z najnowszym stosuneczkiem, zawiązanym z pewną amazonką amerykańską, Dianą Grey, której pojawienie się w Cyrku Zimowym, było jednym z wielkich wypadków sezonu; widziano ją od kilku dni, prowadzącą wprawną ręką w Aleji akacjowej, parę karych, ognistych rumaków, o których pochodzeniu, nikt ani chwili nie wątpił. P. de Monthélin, mógł łatwo przypuścić, iż ta okoliczność miała pewny związek z usposobieniem melanchonicznem, w którem zastawał panią de Maurecamps.

Przydomek dziwaczny, w który Jerzy de Lerne, ubrał był pana de Monthélin, mógłby rzucić na tę osobistość, w oczach czytelnika, pewien odcień śmieszności, na co pan de Monthélin bynajmniej nie zasługiwał. Był to istotnie uwodziciel rzeczywisty i wielce niebezpieczny. Posiadał on w oczach kobiet urok niezwykły, człowieka, mającego szalone szczęście w miłości i zdawało im się zaszczytniej, być zhańbioną przez niego, niż przez innych. Był dobrze ułożony, miał piękną postawę i był odważny. Właściwie mówiąc, nie posiadał on nadto bystrego umysłu, przez wielką jednak uwagę i zamiłowanie w swojem rzemiośle, zdobył pewną wprawę niebezpieczną, w odgadywaniu chwil sposobnych i korzystania w lot z tychże. Wiedział on lepiej niż ktokolwiek inny, iż bywają w życiu kobiet godziny rozstroju i przygnębienia moralnego, godziny, że się tak wyrazimy, bezbronne, które człowiek śmiały i przedsiębiorczy, może wyzyskać w sposób straszliwy. Tem jednem da się zresztą wytłumaczyć, niepojęta inaczej zagadka, iż tyle kobiet prawdziwie dystyngowanych, staje się częstokroć łupem najpospolitszych rozpustników.

P. de Monthélin, w swoich obrotach strategicznych około pani de Maurecamps, czekał oddawna na tę godzinę złowrogą, z kocią cierpliwością i wytrwałością; uznał że wreszcie nadeszła. Po kilku minutach rozmowy oklepanej, do której pani de Maurecamps zaledwie kiedy niekiedy słówko dorzuciła z pewnem roztargnieniem i zmęczeniem, zbliżył się do kanapki, na której dotąd siedziała w postawie na pół leżącej.

— Zaledwie zdajesz się pani mnie słyszeć — rzekł z cicha. — Cóż się to pani stało?

— Nic.

— Płakałaś pani?

— Być może.

— Czyż nie jestem dość starym przyjacielem, abyś mi pani nie miała powierzyć swoich cierpień?

— Nie mam żadnych cierpień... Nie wiem co mi jest...

Wziął ją delikatnie za rączkę i utopił wzrok przenikliwy w jej źrenicach.

— Moje biedne dziecię — szepnął słodziutko — gdybyś wiedziała jak ja ciebie kocham!

Uczuła, że ręka pana de Monthélin, dotyka się jej kibici... Jakby nagle ze snu zbudzona, porwała się w górę, a odtrącając go gwałtownie:

— Ah! mój panie — wykrzyknęła — gdybyś wiedział, jak źle trafiłeś!

Nie można się było omylić co do akcentu jej głosu, i wyrazu jej fizjonomji, uczucie, które nią miotało, było najoczywiściej pogardą zimną i bezlitośną. P. de Monthélin musiał uznać, iż tym razem haniebnie spudłował i że nic mu nie pozostało, prócz odwrotu o ile można honorowego.

— Zdaje mi się — rzekł wyniośle — iż widziałem wychodzącego ztąd hrabiego de Lerne... Zrewanżował się! Ha! odwet, to zwykłe prawo wojenne.

Schwycił za kapelusz, skłonił się głęboko i za drzwi cichaczem się wysunął.

Joanna sama pozostawszy, objęła myślą po raz pierwszy, niebezpieczeństwo istotne i ohydne, na które narażała się bezwiednie. Czuła instynktowo, iż kilka dni temu, może nawet przed kilku jeszcze godzinami — przez zniechęcenie, przez zobojętnienie dla samej siebie, mogła by była zostać bez miłości, bez sympatji, bez wymówki żadnej, ofiarą bezwładną i bezduszną, nikczemnego rozpustnika. Zrozumiała, o ile była bliską tego upadku straszliwego, a jak teraz jest od niego daleką. Zrozumiała, iż owe łzy wylane, były łzami szczęśliwemi. Uradowana, biedna, najmilsza istota, wplotła drżące ręce, w gęste, ciemne pukle włosów, na czoło spadające, a podniósłszy włosy w górę i silnie głowę ściskając, szepnęła z uniesieniem:

— Jestem uratowaną!

VII.

Nie potrzeba i mówić naszym czytelnikom, a szczególniej czytelniczkom, iż począwszy od tego wieczora, bez żadnych wstępów i porozumień się wzajemnych, zawiązały się stosunki przyjaźni, między Joanną a Jerzym de Lerne, coraz ściślejsze i serdeczniejsze. — Joanna weszła w zupełnie nowy okres życia, a przemiana ta wydawała jej się zachwycającą. Jakby odrodzona, odnajdywała dawne ułudy, przekonania, porywy entuzjastyczne, które były rozkoszą jej lat młodocianych, jednem słowem, czuła jak jej skrzydła odrastają. Nic nie mogło więcej urzeczywistniać, jej snów najrozkoszniejszych,

niżeli uczucie, które ją odtąd łączyło z panem de Lerne. Ich dusze zetknęły się w sposób tak cudowny i tak delikatny, jakby siłą magnetyczną pociągnięte. Wkrótce nie było to dla niej tajemnicą, iż Jerzy, tak samo jak ona, liczył do życia te jedynie godziny, które z nią przepędzał. Widziała to, w nagłem rozpromienieniu jego fizjonomji, skoro ją spostrzegał; odczuwała w lekkiem drżeniu głosu, gdy do niej mówił, jak i w czułym, miękkim, chociaż zawsze pełnym uszanowania uścisku jego dłoni, gdy dotykał się jej ręki. Uważała z jaką skwapliwością wynajdował sposobności — o ile mógł to czynić bez kompromitacji dla niej -- aby zbliżyć się do jej osoby; była mu też nieskończenie wdzięczną za jego przywiązanie, a jeszcze wyżej prawie ceniła jego ostrożność nadzwyczajną. Spostrzegła, iż zmienił zupełnie tryb życia i że bywa tylko tam gdzie ona, aby ją spotkać jak najczęściej. Była z tego wszystkiego wielce szczęśliwą i wielce uradowaną, szczególniej z jego sposobu obcowania z nią i rozmawiania. Nigdy słówka grzecznostki oklepanej, tylko zawsze ton zupełnej ufności, nastrój wyższy w rozmowie, skoro zwracał się do niej, jakby chciał dać jej uczuć w sposób delikatny i pochlebny, iż z nią nie można, jak z resztą świata, rozmawiać o przedmiotach zwyczajnych, gdyż ona stoi o całe niebo wyżej, od gminu pospolitego.

Dowiedziała się przypadkiem dnia pewnego, iż zerwał stanowczo z Lucy Mary. Uradowała się tą wiadomością, lecz i zaniepokoiła jednocześnie. Pytała się czy ta ofiara, która prawdopodobnie jej była poświęconą, nie zobowiązuje jej zbytecznie w obec Jerzego. Wymawiała sobie, iż zabiera całe jego życie, nie mogąc mu nawzajem oddać swojego. Aby uspokoić drażliwość sumienia, postanowiła z zaparciem heroicznem, namawiać go znowu do małżeństwa i użyć po temu całej swojej wymowy. Przypomniała mu zatem, iż przyjęła na siebie misję wyswatania go, i że jej ambicja jest w grze, aby obietnicy dotrzymać.

— Zresztą — dodała — rozwinąłeś pan przedemną pewnego wieczora teorję małżeństwa nadzwyczaj budującą, byłaby zatem wieczna szkoda, gdyby program tak cudowny nie miał się urzeczywistnić, przynajmniej raz na tym świecie!

— Czyż pani nie widzisz — odrzekł — iż staram się urzeczywistnieć go z tobą?

Oblała się szkarłatem i spojrzała mu w oczy nieśmiało, jakby nagle spłoszona.

— Nie obawiasz się pani niczego, spodziewam się? — mówił dalej. — Wszak syn twój jest pomiędzy nami! Gdybym teraz uczuł nawet chętkę, zostać dla pani czemś więcej, niż przyjacielem, czyż mógłbym to uczynić nie poniżywszy siebie najokropniej w twoich oczach, a nawet w moich własnych... Czyż nie wyglądałbym na prawdziwego *Tartufa*... Rozumiesz przecie pani, iż to jest czystem niepodobieństwem.

— Dzięki Bogu! — odetchnęła z głębi piersi — ale co jest również niepodobieństwem, to, to lękam się, aby przyjaźń mogła wypełnić całe życie człowieka... Czuję iż jestem okrutnie samolubną, zabierając na moją korzyść, za tę odrobinę, którą mogę dać nawzajem, pańskie serce i całą przyszłość.

— Racz pani — odparł wesoło — nie rozczulać się zbytecznie nademną; mogę panią zapewnić, iż nie jestem wcale godnym pożałowania... Jest we mnie coś z mistyków, i w innych czasach, byłbym z pewnością należał do tych, którzy po kilku burzach młodości, zamykali się w celach klasztornych, lub szli dumać w *Tebaidach Port Royal de Champs*. Nie mieli tam z pewnością takich przyjemności, jakie mi sprawia przyjaźń twoja pani... Na prawdę! jesteś moim portem i mojem zbawieniem; panuje dziś w świecie pewne rozpasanie się materji, do którego to prądu i ja należałem, lecz który obrzydł mi wreszcie... Mam go już powyżej uszu... Czułem, że grzęznę w bagnie... Słowem, jestem chciwy ideału wzniosłego, nawet surowego i znajduję go w uczuciu, które mam dla pani, gdyż to uczucie, chociaż jest w niem — lękam się — przymieszka miłości, ma w sobie również coś religijnego. Bądź więc pani zupełnie spokojną. Bądź szczęśliwą przedewszystkiem. Kochaj mnie potrochę i nie mówmy więcej o tem... Przeczytam pani ustęp z naszego ulubionego Tennysona, najbardziej dziewiczego ze wszystkich poetów. Będzie to zupełnie zastosowane do naszej powyższej rozmowy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ORDYNAT.

PRZEKŁAD Z NIEMIECKIEGO

przez Helenę Wilczyńską.

(Ciąg dalszy.)

Z widoczną niechęcią odwrócił się od kuzyna, ku drzwiom zmierzając, ten jednak silnie go za ramię przytrzymał:

— Edmundzie! — łagodnie przemówił. — Tak nie możesz odchodzić odemnie! Przynajmniej nie dzisiaj!

— Tak, zapewne! Dziś ostatni wieczór, który ze mną spędzasz — odmruknął Edmund, już trochę udobruchany. — Robisz co możesz, aby mi pokazać, jak ci ten odjazd jest obojętnym!

— Wymówka twoja niesłuszna Edmundzie. Rozstanie z tobą, będzie mi cięższe, niż przypuszczałem!

Oswalda głos był tak drżący i zmieniony, że Edmund całkiem przejednany, spojrzał na niego ze zdumieniem, ale i z dawną czułością.

— Co ci jest dla Boga?! — zawołał. — Zbladłeś jak ściana. W ogóle tak dziwnie przez cały wieczór wyglądasz! Teraz domyślam się wszystkiego. Grzebałeś w starych papierach, które zapewne jeszcze od twoich rodziców pochodzą, to więc wywołało nie jedno smutne wspomnienie w twojej duszy, nie jedną myśl ciężką, i dla tego zastałem cię w tak ponurem usposobieniu.

— O tak! westchnął Oswald — przeszedłem chwilę,

najcięższą w życiu!... ale już przeminęła... Masz słuszność, widma przeszłości, stanęły mi przed oczyma, i... ale skończę z niemi raz na zawsze! Więcej mi się nie pokażą!

— Muszę już iść doprawdy! — tym razem serdecznie jak zwykle Edmund przemówił — zapominam, że masz jeszcze nie jedno do uporządkowania. Zobaczymy się zresztą jutro rano. Dobranoc ci Oswaldzie!

I wyciągnął dłoń na pożegnanie. Oswald jednak nie wziął tej dłoni, tylko — może pierwszy raz w życiu — zarzucił ramiona na szyję Edmundowi, namiętnie do piersi przyciskając.

— Dobranoc ci Edmundzie! Nieraz możę, wydawałem ci się szorstkim i zimnym, gdyś ty nie szczędził dla mnie skarbów przyjaźni gorącej, serdecznej, obsypując mnie tysiącznemi tejże dowodami. A jednak kochałem cię z duszy całej! jak bardzo, w tej ostatniej godzinie dopiero poznałem!

— W godzinie rozstania! — Edmund odrzekł z wymówką, z niewymowną czułością oddając uścisk za uścisk. — Ona ci przecie język rozwiązała, inaczej nigdybym się był o tem z twoich ust nie dowiedział. A jednak — uśmiechnął się z lekka — i bez słów wiedziałem, że ci nie jestem całkiem obojętnym.

— Nie mogłeś pojąć, czem byłeś dla mnie, bo ja sam, jak mówię, dopiero się o tem dzisiaj dowiedziałem. Ale idź spocząć. Wielki czas dla ciebie! Choć lekko, ale zawsze ranny jesteś.

Znowu objął Edmunda ramieniem, i przez cały korytarz, aż do jego drzwi odprowadził. Tam jeszcze raz czule się pożegnali.

Podczas gdy Edmund, niczego się nie domyślając, spokojnie usypiał, Oswald stał do późna w noc nad biurkiem, wpatrując się okiem szklistem, ponurem, w portret tajemniczy. Zamknął go wreszcie i jęknął głucho:

— On by tego nie przeżył! Za tak wielką cenę, nie chcę zostać panem na Ettersbergu.

Nazajutrz z rana zeszli się tylko trzej panowie na śniadanie, chociaż Oswald jeszcze przed obiadem odjeżdżał. Młody hrabia i dziś nic sobie nie robił z przepisów lekarskich, zjawił się z ręką wprawdzie obandażowaną, zresztą całkiem zdrów i wesół, śmiejąc się z przesadzonej troskliwości i wymówek wuja, „że tak się nic a nic nie szanuje“. Hrabina była niewidzialną. Wymówiła się silnym atakiem nerwowym, spowodowanym zapewne wczorajszym przestrachem, w skutek przesadzonej wieści o syna skaleczeniu.

Edmund, który właśnie od matki wracał, znalazł ją istotnie dziwnie rozstrojoną, a na pytanie „czy Oswald może przyjść z nią się pożegnać“ — otrzymał odpowiedź kategoryczną „iż jest za nadto cierpiącą, aby widzieć kogokolwiek, oprócz syna“. Mocno ta odmowa dotknęła Edmunda. Czuł ile było niedelikatności ze strony matki, w jej niechęci, w ostatniej jeszcze chwili odjazdu okazywanej, i czuł również, że na te słów kilka jeszcze by jej sił nie zbrakło.

Na Oswaldzie przeciwnie, wiadomość, że stryjenki przed obiadem nie zobaczy, żadnego wrażenia nie wywarła. Ani się nie zasmucił, ani tem nie zdziwił. Wiedział on doskonale czemu przypisać ów nagły atak nerwowy, umiał ocenić, ile przyczyniło się do tegoż zniknięcie z biurka miniatury. Hrabina jeszcze wczoraj dowiedziała się od Eberhardta, kto po niej wszedł do buduaru, i domyśliła się niezawodnie, w czyim ręku spoczywa portret tajemniczy.

Rozmowę przy śniadaniu, dość lakonicznie prowadzono. Baron, chociaż sam był za oddaleniem Oswalda, nie mógł jednak darować dotąd dawnemu pupilowi, iż śmiał raz w życiu mieć własną wolę, i z taką zuchwałością przeciw nim obojgu wystąpił, rzucając niemal, tak hrabinie jak i jej bratu, rękawicę w oczy. Edmund był smutny i milczący, z powodu rozstania z tyloletnim towarzyszem. W tej chwili ostatniej uczuwał dopiero, jaką próżnię, niczem nie zapełnioną, zostawi w sercu jego odjazd Oswalda. Jeden Oswald był na pozór zimny i spokojny jak zawsze. Wstawano właśnie od stołu, gdy lokaj wszedł, meldując przyjazd lekarza. Edmund wybiegł na tegoż powitanie, baron chciał również pospieszyć, aby polecić lekarzowi, ostrzejszy nakaz, co do szanowania się pacjenta, gdy na progu wstrzymała go cicha prośba Oswalda. Obejrzał się bacznie, czy sami zostali, i wyjął z zanadrza pakiecik starannie opieczętowany.

— Spodziewałem się zobaczyć stryjenkę przed odjazdem — przemówił Oswald — skoro to jednak stało się niemożebnem, proszę pana, abyś raczył wręczyć jej ostatnie moje... pożegnanie. Tylko żądam usilnie, aby pakiecik dostał się do własnych rąk hrabiny i wtedy, gdy samą będzie.

— Cóż to za tajemnicze zlecenia? — spytał Heideck zdziwiony. — Dla czego oddajesz to mnie, a nie Edmundowi?

— Sądzę, iż nie byłoby wcale życzeniem hrabiny, aby Edmund dowiedział się kiedykolwiek, co ten pakiecik zawiera. Powtarzam więc prośbę, aby wręczyć go w cztery oczy hrabinie.

Zimne jak stal słowa, tudzież wzrok dumny i pogardliwy, którym zmierzył barona, były jedyną zemstą ze strony szlachetnego młodziana. Baron, chociaż słów tych i wzroku nie rozumiał, pojął jednak, że tu idzie o coś ważnego i niezwykłego; przyjął więc zlecenie i pakiecik odebrał:

— Oddam mojej siostrze, tak jak sobie życzysz — przemówił.

— Dziękuję! — odrzekł Oswald sucho i krótko, o krok się cofając. Do dalszych badań już też i czasu nie było, gdyż Edmund wracał z lekarzem pod ramię, którego chciał koniecznie do matki zaprowadzić, aby go uspokoił co do jej tak silnego rozdrażnienia.

Lekarskie orzeczenie, co do obojga pacjentów, wypadło atoli bardzo pomyślnie. Ranka hrabiego, ślicznie

się zaciągała, i obiecywała zgoić do dni kilku. U hrabiny były nerwy w grze, rozstrojone nagłym wstrząśnieniem, na wiadomość o wypadku syna. Obojgu potrzeba było li spokoju, chłodzącej miksturki; Edmund nawet wymógł na lekarzu nie tylko pozwolenie opuszczenia pokoju, ale co więcej, odprowadzenia Oswalda aż na dół, do powozu.

Pożegnanie z baronem, odbyło się nader zimno i caremonialne. Za to tem czulej i namiętniej, żegnał Edmund brata na dole przy powozie. Obsypywał go uściskami i zaklęciami, aby przecie, choć na dzień jeden przybył do Ettersberg, jako jego drużba; obiecując się nawzajem, wkrótce, bardzo wkrótce! w stolicy. Oswald boleśnie się tylko uśmiechnął. Wiedział, że do Ettersberg wracać nie może, a czuł również, że hrabina znajdzie sposób, żeby syna wstrzymać od podróży do stolicy. Jeszcze ostatni uścisk... łzy zalśniły w oczach obydwóch młodzieńców i powóz potoczył się z przed ganku, unosząc Oswalda w przyszłość ciemną, niepewną...

Kilka godzin minęło, nim baron pomyślał o spełnieniu zlecenia Oswalda. Wiedział na jak wojennej stopie żyli ze stryjenką, obawiał się więc aby to ostatnie... pożegnanie, gorzej jeszcze nie wpłynęło, na jej stan i tak chorobliwy. Oswald jednak taki nacisk kładł na oddanie szybkie i bez świadków tajemniczego pakieciku, że wreszcie po obiedzie, gdy służącą z pokoju wyprawił, o Edmundzie zaś wiedział, że drzemie w swoim pokoju, wręczył siostrze pakiet, wprzód drzwi szczelnie przymknąwszy.

Hrabina leżała ubrana na szezlongu, ale bardzo blada i znużona. Rysy jej zdradzały ile od wczoraj przecierpiała i cierpi. Nie zebrała się dotąd na odpowiedź, mimo iż brat przekonawszy się co pakiet zawiera, obsypywał ją gradem wymówek najostrzejszych, wprawdzie głosem przyciszonym, świadczącym jednak o wielkiem wzburzeniu, tak niezwykłem u zimnego i liczącego się z każdem słowem dyplomaty.

— Więc istotnie — kończył długi szereg wyrzutów — nie mogłaś się dotąd rozłączyć z tym nieszczęsnym wizerunkiem? Myślałem iż dawno nie istnieje. Szaleństwo, czyste szaleństwo, chować coś podobnego!

— Nie łaj mnię Armandzie! — hrabina zalała się łzami gorzkiemi. — Nie znieważaj uczucia, którego i grób nie zdołał pochłonąć! Jedyna pamiątka, jaka mi po nim została, przysłana w chwili, gdy padał na polu bitwy, ranny śmiertelnie. Ostatnia myśl jego dla mnie była, a jaż miałam zniszczyć ten dowód pamięci droższej mi nad życie?

— I dla tak dziecinnej sentymentalności, chcesz ściągnąć na głowę twojego syna grom straszliwy! Czyż te rysy nie świadczą aż nadto dobitnie o wszystkiem? Dopóki Edmund był dzieckiem, podobieństwo nie było tak uderzające; dziś, gdy dochodzi prawie do lat... tamtego! staje się przerażającem. Czy nie dość ci tej jednej nauki, którą odebrałaś za twoją nierozwagę? Wszak wiesz w czyich rękach była miniatura?

— Wiedziałam już wczoraj. Boże miłosierny! co z tego wyniknie?!

— Nic! — baron wydął usta pogardliwie. — Dowód najlepszy, że ci portret oddał. Oswald jest za nadto dobrym jurystą, aby sobie nie powiedzieć, że na tak błahej podstawie, oskarzenia zbudować nie można. Zawsze, było to z jego strony rodzajem wspaniałomyślności, iż ci to oddał. Inny byłby takiej zdobyczy z rąk nie wypuścił, aby cię tą myślą dręczyć i nękać w nieskończoność. Portret ten nieszczęsny musi atoli zniknąć na zawsze.

— Zniszczę go! — jęknęła boleśnie hrabina.

— Nie! ja tobie zrobię — wpadł jej brat w słowo, chowając starannie pudełko do bocznej kieszonki surduta. — Mogłyby cię znowu wstrzymać jakieś romantyczne wspomnienia. Raz już uratowałem cię Emmo od grożącego ci niebezpieczeństwa, teraz muszę zniszczyć wspomnienie, które mogłoby równie zgubnem się okazać. Nie wywołuj z grobu cienia, który zmartwychwstając, mógłby zatruć całe szczęście i zniszczyć spokój w Ettersberg. Nieszczęsna pamiątka zniknie dziś jeszcze! Edmund tak samo nie powinien się domyślać co w sobie zawiera, jak twój mąż nigdy o niczem się nie dowiedział.

Coraz więcej wzburzony, baron podniósł głos bezwiednie, ostatnie słowa wymawiając; urwał jednak nagle, mocno zmięszany, zobaczywszy na progu drzwi do salonu prowadzących stojącego Edmunda.

— Czego ja niemam się domyślać i o czem niemam wiedzieć? — spytał Edmund szybko i gwałtownie.

Wprawdzie powiedziano młodemu hrabiemu, iż matka zakazała wchodzić do siebie, póki nie zadzwoni. Nie mógł jednak zakazu do siebie stosować. Wszedł więc po cichu, aby matce nie przeszkadzać. Całej rozmowy nie usłyszał, gdyż była półgłosem prowadzona, doleciał go jednak końcowy tejże frazes. Zdradzał to wyraz jego fizjonomji. Był zdziwiony i zaciekawiony, ale w rysach jego nie malowało się dotąd przerażenie.

Mimo spokojnej twarzy syna, matka drgnęła całem ciałem i zbladła jak ściana. Baron spojrzał na nią przenikliwie i dłonią jej rękę silnie nacisnął. To ją przyprowadziło do opamiętania.

— O czem ja niemam wiedzieć? — powtórzył Edmund, podchodząc ku wujowi i do niego zwrócony.

— Czyś nas podsłuchiwał? — spytał baron niby od niechcenia, chociaż i jemu co prawda tchu w piersiach zabrakło na to przypuszczenie.

— Nie wuju — młody hrabia obrażony wyprostował się z dumą. — Nie zwykłem się bawić w podobne rzeczy. Uderzyły mnię jednak ostatnie twoje słowa, gdym właśnie brał za klamkę, aby drzwi otworzyć. Sądzę, iż pragnienie moje jest całkiem naturalne, dowiedzieć się o czemś, co niegdyś przed moim ojcem, a dziś przedemną ukryć zamierzacie.

— Słyszałeś przecie, żem właśnie prosił moją siostrę, aby przed tobą o tem nie wspominała — baron odrzekł spokojnie, odzyskawszy zimną krew całkowicie.— Smutne to wspomnienie z czasów naszej młodości,

które chcemy dla siebie zachować. Wiesz dobrze, że nam młodość inaczej spływała, niż twoja, otoczona zbytkiem i wygodami. Myśmy znieść musieli nie jedno upokorzenie, walczyliśmy z niedostatkiem, który niemal z nędzą graniczył. Ty pieszczoszku, nie możesz nawet pojąć czegoś podobnego.

Tłumaczenie było dość do prawdy podobne, i zdawało się, że Edmund w nie uwierzył. W głosie jego, zwykle tak czule do matki przemawiającym, brzmiała jednak tym razem gorzka wymówka, gdy odezwał się po chwili:

— Nie spodziewałem się mamo, żebyś kiedy potrzebowała taić cośkolwiek przed twoim synem? Jabym tego względem ciebie nie potrafił.

— Nie męcz że twojej matki — wpadł baron na niego. — Widzisz jak źle wygląda i jak jest zdenerwowaną!

— Właśnie dla tego. byłbyś ty wuju dobrze zrobił, oszczędzając mamie smutnych wspomnień z przeszłości! — Edmund odciął się podrażniony. — Przyszedłem oświadczyć ci mamo, że przybyła moja narzeczona z ojcem. Skoro byłaś dość silną do niemiłej konferencji z wujem, spodziewam się że i Jadzię przyjąć raczysz?

— Ależ niezawodnie mój synu! — hrabina żywo zawołała. — Czuję się o wiele lepiej. Proszę cię bardzo, przyprowadź mi Jadzię natychmiast!

— Idę po nią -- odrzekł Edmund. Odchodząc jeszcze raz rzucił okiem na matkę i wuja. W tem badawczem spojrzeniu, nie było jeszcze podejrzenia, ale jakby głuche przeczucie mogącego spaść mu na głowę nieszczęścia. (Ciąg dalszy nastąpi).

GENJALNY INŻYNIER

NOWELLA.

Przekład z angielskiego.

(Dokończenie.)

Miss Liliana zeszła na obiad piękniejsza niż zwykle, w różowej, jedwabnej sukni, ubieranej białą koronką, ze świeżemi różami we włosach. Jeden jej uśmiech rozprószył troski i obawy Harolda.

* * *

— Formalnie jestem zakochany w tej wiejskiej piękności — nazajutrz rano mówił książę Raysfort do inżyniera — mów pan co chcesz, dziś o czwartej jadę na folwark.

Harold ruszył ramionami, dziękując Bogu, że schadzkę naznaczył na trzecią, ustrzeże więc siostrę od spotkania się z niebezpiecznym wielbicielem.

Nie łatwą jednak było rzeczą samemu wymknąć się z pałacu. Od rana nie odstępował hrabianki; razem przechadzali się po parku, razem zbierali kwiaty nad wodą, opowiadając sobie wzajemnie, ile wycierpieli przez te długie dwa lata, jak tęsknota podsycała ich miłość, jak serce Liliany walczyło z dumą i przesądami, i uległo wreszcie pod potęgą uczucia. Szczęśliwi, zakochani, w słodkich zatopieni zwierzeniach, zapomnieli o świecie całym.

O drugiej podawano śniadanie, a potem panie zwykle udawały się do salonu, chroniąc się tam przed upałem.

Kiedy wstawano od stołu, Harold rzekł do Liliany:

— Idź najdroższa do swego pokoju i odpocznij nieco; ja muszę wyjść, gdyż mam się spotkać z jedną osobą.

Hrabianka skinąwszy mu główką, weszła na szerokie marmurowe schody, wiodące na górę. Z okna swego pokoju zauważyła, że młodzieniec szybko poszedł przez łączkę, kierując w stronę lasu, ale żadne podejrzenie nie zbudziło się w jej umyśle. Nie zastanowiła się nad tem, z kim on miał się widzieć

— Wyjdę na jego spotkanie — rzekła do siebie — wiem że mu to zrobi przyjemność.

Nie chcąc, żeby wiedziano o jej wycieczce, nie dzwoniła na pokojówkę, lecz sama wyjęła kapelusz, parasolkę i rękawiczki. Wychodząc, z upodobaniem przejrzała się w lustrze, — szeroki kapelusz ocieniał twarz śliczną i świeżą jak kwiatek — a ona chciała być piękną dla ukochanego.

Zatrzymała się w ogrodzie, żeby zerwać kilka róż; wyobrażała sobie jak on się ucieszy, jak jej będzie dziękował za niespodziankę.

Hrabianka zbliżyła się do lasu, ale Harolda nigdzie nie było widać. Weszła na prześliczną polankę, stuletniemi otoczoną drzewami, lecz i tu było pusto. Nagle doszedł ją dźwięk głosu. W pośrodku polanki wznosił się sędziwy dąb, zwany dębem królewskim, gdyż w rozłożystych jego konarach miał się podobno ukrywać Karol I. Szeroki pień drzewa zasłaniał rozmawiających, Liliana przeszła więc na drugą stronę, i nagle stanęła jak skamieniała. Wszystka krew zbiegła jej z twarzy, zgroza i oburzenie malowały się w rozszerzonych źrenicach, z ust drżących i pobladłych wydarł się stłumiony jęk. Najdumniejsza dziewica w Anglji, królowa piękności, dziedziczka dóbr hrabiowskich w samo serce ugodzona.

Tam o kilkanaście kroków dalej stał jej narzeczony, jej przyszły mąż, wybrany wśród wszystkich, rozmawiał czule z wiejską dziewczyną! Na jego twarzy jaśnieją głębokiem uczuciem oczy, z miłością spoczywają na dziewczęcej postaci. Liliana widziała jak się pochylił i ściskając ręce dziewczyny, mówił do niej z przejęciem i w końcu ucałował jej usta. Poznała piękne dziewczę z folwarku.

— Ha! teraz wszystko rozumiem — jęknęła głucho, przypominając sobie jego bladość i pomięszanie, kiedy stanęli przed wiejską chatą. — Nie chciał wejść razem z nami, oddalił się od towarzystwa, lękając się, żeby nie wyszły na jaw jego tajemne stosunki.

— Kocha ją, a ze mną się żeni dla pieniędzy, — z rozpaczą myślała hrabianka — zwiódł mię niegodnie, oszukał i znieważył! Nikczemny! ze wzgardą go odepchnę.

GÓMNICKI.

A ta panna... pewnie narzeczona naszego pana hrabiego. Hrabia pisząc o urządzeniu pokoi, zalecił mi szczególniej jeden pokój i ręczę, że przeznaczył go dla niej. Ma być bardzo bogata... a przydałyby się pieniążki... ale i pan Abraham ściąga do nas... A co to sprowadza?

Scena III.

Ci sami, SZTORC.

SZTORC.

Nu, przyszedłem przywitać naszego pana... (wita się podając wszystkim ręce). I pan profesor tutaj... tam stoi córka... czemu nie razem?...

JAZOWSKI.

Po cóż by tu była... a tam patrzy się bo ciekawa.

SZTORC.

Nu ciekawa... Prawda, teraz wszyscy ciekawi i ja ciekaw co powie pan hrabia, że nie będę mógł już płacić dalej tyle za propinacyę.

GÓMNICKI.

Co Sztorc mówi. Z takiemi rzeczami potrzeba siedzieć cicho...

Scena IV.

Ciż sami, wchodzi ARTUR.

ARTUR.

Witam was moi panowie i dziękuję szczerze za to serdeczne przyjęcie. Stosunki moje nie pozwoliły mi dotąd, osiedlić się tu między wami. Dzisiaj jednak, miło mi wam powiedzieć, iż zmieniły się one na moją korzyść i będę mógł pracować wspólnie z wami dla mego i waszego dobra. Panie Gómnicki, proszę przyjąć i uczęstować wszystkich.

GÓMNICKI.

Stanie się podług życzenia pana hrabiego. Zanim odejdę pozwoli jednak pan hrabia że przedstawię... (wskazuje na Jazowskiego i Karola) (a na skinienie Artura). Pan Jazowski nasz nauczyciel, Karol... nasz rządca lasowy. (odchodzi a za nim wieśniacy).

ARTUR (Sztorc usuwa się nieco).

Bardzo mi miło poznać panów (podaje im rękę) (do Jazowskiego). Pana chciałbym widzieć częstym u mnie gościem (Karol odchodzi powoli bramą wprost). Mam różne plany i zamiary w których pomoc pańska, będzie mi nader cenna.

JAZOWSKI.

Będę prawdziwie szczęśliwym mogąc tem dołożyć choć jeden kamyczek do budowy tego gmachu naszej przyszłości.

ARTUR (patrząc nań ciekawie.)

Powiadasz pan, gmachu naszej przyszłości... Sądziłbym, iż oświata niższych warstw naszego społeczeństwa, choć jest niezbędną... nie może być przecież jedynym czynnikiem naszego odrodzenia. Są inne warstwy... warstwy dziś już wysoko stojące a władające potężną siłą, bo siłą inteligencyi. Nie przypuszczam zresztą w niczem wyłączności...

JAZOWSKI.

Toż wyrażeniem tem nie chcę jej nikomu przypisywać. Wnosząc zaś ze słów hrabiego, iż chcesz coś uczynić dla podniesienia oświaty twego ludu, wyrwał mi się ten okrzyk radości.

ARTUR.

Mam przynajmniej najlepsze chęci... Zacznę zaś od tego, iż wyrażając panu moją wdzięczność za jego gorliwą dotychczasową pracę, użyczę mu do dalszej lepszych środków i warunków. Dotacya pańska zostanie podwojoną.

JAZOWSKI.

Panie hrabio, zły początek...

ARTUR.

Nie rozumiem pana...

JAZOWSKI.

Do dzisiaj jestem płatny li tylko przez gminę. Ludzie mówią sobie... to nasz, my go sobie płacimy. Gdy hrabia dołożysz połowę,.. cóż z tego wyniknie...

ARTUR (przerywa).

Bynajmniej się nie domyślam, jaki by to mogło mieć wpływ na tych ludzi... Powinni się tylko z tego cieszyć.

JAZOWSKI.

Gdyby mogli tak rozumować jak my, zapewne. Lecz niestety poglądy ich nie sięgają dotąd po nad ich własną sferę, której my znowu nie zawsze pojmujemy. Gdybym przyjął łaskawą ofiarę hrabiego, straciliby do mnie zaufanie mówiąc: to płatny sługa dworu.

ARTUR.

Pan się mylisz, zresztą nie potrzebują o tem wiedzieć...

JAZOWSKI.

Zanadto znowu są sprytni by się co przed nimi dało ukryć. Nie, panie hrabio. Użyj raczej tych pieniędzy na inny cel. Potrzeby są tysiączne a środki małe. Patrz pan na te nędzne chaty... wnijdź tam i spojrzyj na tych których w sobie kryją a na których twarzach wyryte jest piętno głodu! A wtedy pomyśl jakiej trzeba urodzajnej gleby, by, wśród tak trudnych warunków i sprzysiężenia się nieprzyjaźnych żywiołów, przyjęło się to ziarno wiedzy i wydało owoce jakich oczekujemy. Tu praca jednostki niknie... Tu ogół powinien działać... Wszyscy powinniśmy się zaprządz do tego pługa orzącego niwę urodzajną, ale twardą, zeschniętą, prawie zaskorupiałą od wieków. Powoli, skiba za skibą odkładać, kruszyć... ciepłem tchem serca owiewać... a pole nasze zacznie się wnet zasiewać... tu i owdzie zabłyśnie kwiat wśród zieleni... aż owoc pocznie dojrzewać i wyrosną tysiące, krocie... i ręka w rękę pójdą z nami choćby przed tron Boga!

ARTUR (wzruszony).

Panie, widzę iż jesteś człowiekiem niezwykłym. Proszę, uważaj mnie za przyjaciela, a dom mój za swój własny... (podaje mu rękę i zwraca się ku domowi; Jazowski kłania się i odchodzi przez bramę wprost. Spostrzega Sztorca). Czy masz pan do mnie jaki interes? Możeby później, bo jestem zmęczony. (Ciąg dalszy nastąpi.)

Z drukarni narodowej W. Manieckiego.

Stała dumnie wyprostowana, z twarzą bladą jak marmur i płonącemi oczyma; gniew tłumił cierpienie, które rozdzierało jej serce.

Widziała jak poraz drugi całował piękną dziewczynę; — załamała ręce.

— Wczoraj dopiero złożył pierwszy pocałunek na moich ustach, — szepnęła.

Harold pożegnał się czule z dziewczyną, odprowadził ją daleko i stał dopóki nie zniknęła mu z oczu.

Liliana widziała, że stał uśmiechnięty i rozpromieniony, ale ujrzawszy ją nagle przed sobą, bladą i nieruchomą, z zaciśniętemi usty, dumnem czołem i różami w ręku — stanął, uśmiech znikł z jego twarzy.

— Liliano! — zawołał przerażony.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Chciał się zbliżyć do niej, ale rozkazująco wyciągnęła rękę, zatrzymując go na miejscu; oczy jej ciskały błyskawice.

— Ani słowa — rzekła głucho — ani słowa więcej!

— Liliano - zawołał. — Na Boga, co to znaczy?

— Milcz pan, wiem wszystko i po raz drugi nie dam się oszukać...

Harold pochylił głowę. Usłyszawszy te słowa: „wiem wszystko“, był przekonany, że hrabianka dowiedziała się o jego pochodzeniu i oskarża go, że ją tak długo zwodził.

— Posłuchaj mię Liliano, — zaczął.

Na twarzy hrabianki malowała się duma, oburzenie i pogarda.

— Nie chcę pana słuchać, nie chcę wiedzieć szczegółów twojej zdrady; dziś rozstaniemy się na zawsze.

— Zawiniłem względem ciebie, ale posłuchaj mię Liliano, — błagał młodzieniec.

— Może się będziesz usprawiedliwiał? — z urąganiem mówiła hrabianka — oszczędź sobie zbytecznego trudu. Przyrzekając zostać twoją żoną zaparłam się mojej dumy i srogo zostałam za to ukarana. — Czy widzisz te róże? Zerwałam je dla ciebie, a teraz zgniotę je i podepczę.

Zgniotła kwiaty i cisnęła na ziemię.

— Tak samo postąpię z moją miłością dla ciebie — zawołała z uniesieniem — wyrwę ja z serca i odrzucę. Zdradziłeś mię tak niegodnie, że nie zasługujesz nawet na wspomnienie. Oddal się pan.

— Liliano, posłuchaj mię przez litość. Miałem ci wyznać wszystko, przysięgam ci że...

— Ani słowa więcej — przerwała hrabianka. — Czy sądzisz, że słuchałabym podobnego wyznania?

Oboje się nie rozumieli: ona mówiła o mniemanym jego stosunku miłosnym z wiejską dziewczyną, on zaś miał na myśli swoje nizkie pochodzenie, które dotąd przed nią ukrywał.

— Wszystko byłabym ci przebaczyła — rzekła z goryczą — ale tak niegodna zdrada nie zasługuje na przebaczenie. Sądzę, że jak najprędzej uwolnisz mię pan od swojej obecności.

— Wiedziałem, że tak będzie — zawołał zrozpaczony Harold — oh! Liiliano, czyż nie rozumiesz, dlaczego tak długo zwlekałem z tem wyznaniem? Lękałem się utracić ciebie...

— Wierzę — odparła szyderczo. — Przed godziną jeszcze myślałam, żeś prawy i szlachetny...

— Nie masz litości nademną! — jęknął młodzieniec.

— Nie zasługujesz na nią — rzekła pogardliwie — wszystko między nami zerwane.

— Zbrodniarzowi nawet wolno się usprawiedliwić, a ty mię wysłuchać nie chcesz.

— Cóż mógłbyś przytoczyć na swoją obronę? Może znów starałbyś się mię oszukać i zaprzeczyć temu, co na własne oczy widziałam? Gdybyś mię był zabił w gniewnem uniesieniu, byłabym ci to prędzej przebaczyła, niż taką niegodną zdradę.

Podniósł na nią oczy tchnące boleścią bez granic.

— Widzę, że mi nigdy nie przebaczysz... Skończyły się dla mnie chwile szczęścia. Byłem zarozumiałym szaleńcem i zostałem za to ukarany... Masz słuszność Liliano, że mi przebaczyć nie chcesz.

Słuchała zdumiona, nie mogąc go zrozumieć.

— Błagam cię, pani, nie wspominaj o mnie z nienawiścią. — Nic nie zdoła wydrzeć z mego serca miłości dla ciebie.

— Żegnam pana — rzekła dumnie i odeszła.

XII.

W tej godzinie boleści myśl Harolda pobiegła do chaty rodzinnej. Ubogi czy bogaty, sławny czy wzgardzony, szczęśliwy czy znękany, tam mógł zawsze znaleść serca wierne i kochające.

Tam pod strzechą wieśniaczą, czeka go uścisk spracowanej dłoni ojcowskiej, tam go utulą matki ramiona, powita okrzyk radości przywiązanego rodzeństwa. Tam jedynie liczyć może na miłość i pociechę. Ach! gdyby jak najrychlej dostać się do domu.

Czuł, że nigdy już nie powróci do dawnego życia, nigdy nie będzie mógł wziąć się do pracy; — nieszczęsna miłość złamała jego energią, wyczerpała siły, stłumiła zapał młodości.

— Jakiż ze mnie szaleniec! — szepnął Harold — łudziłem się, że ona będzie wyższą nad przesądy szlacheckie. Duma była silniejszą niż miłość...

Kilka godzin spędził na polance. Postanowił porzucić wszystko i wrócić do rodziców; nie dbał już o dziedzictwo sir Ryszarda, nie dbał o wielki świat, o sławę i zaszczyty. Cóż mu przyjdzie z majątku i rozgłosu, kiedy serce jego jest na zawsze zabite, umysł znękany, a ciało bezsilne? Był tak znużony życiem i kolejami jakie przechodził, że w tej chwili pragnął jedynie ciszy, spokoju i miłości rodzinnej — to wszystko czekało go w domu. Ambicja w nim nawet umilkła, nie miał ani siły, ani chęci do dalszej walki z losem.

— Za kilka dni napiszę do Sir Ryszarda i uwiadomię go o swojem postanowieniu. — Wiedział, jaką boleść sprawi zacnemu opiekunowi, ale nie mogło być inaczej.

Chwiejąc się wrócił do pałacu; na szczęście nigdzie nie było widać miss Liliany. Udał się do swego

pokoju wrzuciwszy rzeczy do podróżnego kuferka, poszedł się pożegnać z lordem Charnwood. Oznajmił mu, że nagła sprawa zmusza go do wyjazdu, podziękował za uprzejme i gościnne przyjęcie i przed obiadem opuścił pałac.

Przedtem jednakże napisał list do miss Liliany.

List był następującej treści:

„Nie chciałaś mię wysłuchać, miss Liliano, nie dałaś mi się usprawiedliwić, pozwól więc że listownie wypowiem słów kilka w mojej obronie.

„Nigdy nie miałem zamiaru łudzić cię pani, pragnąłem owszem wyznać wszystko w nadziei, że miłość twoja silniejszą będzie niż duma. Niestety! zwodnicza to była nadzieja.

„Może miałaś słuszność, zbyt wielka przestrzeń dzieli córę hrabiów od syna chłopskiego, który zuchwale podniósł na nią oczy i ciężko teraz pokutuje za jednę chwilę niebiańskiego szczęścia.

„Powiedziałaś pani że wiesz wszystko. Przypadek odsłonił ci prawdę, którą sam chciałem wyznać. A więc tak, ten stary, spracowany wieśniak jest moim ojcem, ta miła, poczciwa kobieta moją najukochańszą matką, a młode dziewczę, które widziałaś, siostrą moją. Urodziłem się i wychowałem w ubogiej, wiejskiej chacie — z dumą to wyznaję. Boleść oczyściła moje serce z fałszywego wstydu i próżności; chlubię się z mego pochodzenia, które mi nie przeszkodziło wznieść się wysoko, szczycę się z zacnych i szlachetnych rodziców. Proste ich serca umieją kochać wiernie i stale, dusza nie zna pychy, pogardy i nienawiści.

„Kiedy byłem dzieckiem, sir Ryszard odkrył we mnie niepospolite zdolności. Z porady doktorów bawił wtedy na wsi i polubiwszy mnie, postanowił przysposobić za syna. Rodzice niechętnie na to przystali, ale sir Ryszard mówił im, że mam geniusz, obiecywał majątek, sławę i znaczenie. Przez miłość dla mnie zgodzili się, myśląc że mi tem szczęście zapewnią. Szczęście! ten wyraz wydaje mi się w tej chwili gorzkiem szyderstwem.

„Porzuciłem więc dom i rodzinę, ale nigdy o nich nie zapomniałem; listy, podarunki i pieniądze świadczyły o niewygasłem przywiązaniu. Z czasem jednakże coraz rzadziej ich odwidzałem, raziła mię ich prostota, nie zajmowały powszednie zajęcia i prace — wyznaję to ze wstydem i boleścią. Drogi nasze rozchodziły się, nie mogliśmy się już zrozumieć i z dniem każdym zwiększała się dzieląca nas przestrzeń. Drżałem z obawy, żeby nie wyszło na jaw moje nizkie pochodzenie, które dla wszystkich było tajemnicą.

„Teraz dopiero widzę, że postąpiłem niegodnie, wstyd mi tego tchórzostwa i obłudy. Wrócę do rodzinnego domu i w obec całego świata uczczę rodziców moich.

„Niczego się już nie spodziewam i niczego nie pragnę. Nie obwiniam cię o to, miss Liliano, kiedyś może przekonasz się, że syn chłopski pracą, nauką i szlachetnością stanąć może na równi z wysoko urodzonymi panami. Może nie spotkamy się już w życiu, ale serce moje nigdy nie zapomni i nigdy cię kochać nie przestanie.

Harold Fraser Vibart".

Miss Liliana zamierzała właśnie ubierać się do obiadu, kiedy jej oddano list Harolda. Przeczytawszy go od początku do końca, upuściła z okrzykiem żalu i zdumienia. Ha! jakaż okropna pomyłka! Nie mogło być mowy o zdradzie, fałszu i nikczemności — to piękne dziewczę jest jego siostrą!

Nagły odjazd inżyniera zdziwił wszystkich gości bawiących w pałacu, nikt jednak, prócz lorda Charnwood, nie domyślał się prawdziwej przyczyny.

— Jestem przekonany, że się kochają, — rzekł baron do siebie — musieli się pokłócić i dlatego wyjechał. Ręczę, że się niezadługo pogodzą.

Jego podejrzenie potwierdziła wiadomość o rychłym odjeździe miss Liliany, która nazajutrz zamierzała wybrać się z powrotem do Ulverscroftu. Baron nikomu, nawet żonie nie udzielił swoich przypuszczeń.

Harold przyjechał na stację kolei i suto wynagrodziwszy służbę, odprawił ją do domu. Rzeczy zostawił na dworcu, zapowiadając że wkrótce po nie przyśle, i pieszo poszedł na folwark.

Wiedział, że mu tam będą radzi, że znękana jego dusza pod rodzicielskim dachem znajdzie spokój, miłość i pociechę.

Okrutna dziewica już mu serca nie rozedrze, nie podepcze jego uczuć najdroższych.

Nagle doszedł go znany turkot młyna i szum wody. W purpurowych blaskach zachodzącego słońca ujrzał zielone lipy, ogródek pełen kwiatów i ukochaną chatę rodzinną, zarzuconą festonami bluszczu i dzikiego wina. Z uniesieniem wyciągnął ręce — wracał nakoniec do domu!...

Siostra jego będzie odtąd wolną od natręctwa lekkomyślnego panicza; jeżeli książe Raysfort raz jeszcze ośmieli się przestąpić próg tego domu, z nim będzie miał do czynienia.

Na ganku stała kobieta, która z okrzykiem radości wybiegła go witać.

— Matko — rzekł Harold — jestem smutny i nieszczęśliwy, wracam do domu na zawsze.

XIII.

Syn odzyskany spoczywał na białem jak śnieg łóżku, w czystym, miluchnym pokoiku z oknami na kwiecisty ogródek. Ach! jak tu było dobrze, jak błogo, daleko lepiej i rozkoszniej niż wśród gwaru wielkiego świata.

Mateczka tuliła go w objęciach i ze łzami w oczach ubolewała nad jego smutkiem i bladością.

— Nie puszczę cię już, synku najdroższy — mówiła — tu przynajmniej nie dosięgną cię troski i cierpienia.

Kasia pochylona nad łóżkiem, z czułością ściskała jego ręce, opodal stał Desford i ojciec.

— Niech ci Bóg płaci za to, żeś do nas powrócił, mój chłopcze — rzekł serdecznie — tu nikt ci nie dokuczy.

Harold z rozrzewieniem spoglądał w około. Skołatany, zawinął nakoniec do cichej przystani, gdzie go otoczyła kochająca rodzina. Biedne, zranione serce odżyje może w tej atmosferze ciepła i miłości, tkliwe ich starania i czuła opieka pokrzepią duszę znękaną.

Nazajutrz Harold był na łąkach i w bukowym lesie, obszedł pola zasiane zbożem i koniczyną, zwiedził stary młyn, i znużony długą przechadzką, rzucił się na murawę nad wodą. Wspomnienia lat dawnych cisnęły mu się do myśli. Nie zastanawiał się jeszcze nad przyszłością, nie wiedział w jaki sposób urządzi sobie życie, czuł tylko, że nigdzie nie będzie mu tak dobrze jak w domu.

Zbudził go z zadumy wesoły głos Kasi, która nadbiegła zadyszana.

— Szukam cię wszędzie, Haroldzie — zawołała — chodź prędko, ktoś chce się z tobą widzieć.

— Ze mną? Któżby to był? Nikt przecież nie wie że tu jestem.

— Spiesz się braciszku, musiałam przyrzec, że ci nie powiem kto to przyszedł — dostałam za to serdeczny pocałunek.

— Kasiu, nie żartuj ze mnie.

— Nie żartuję, chodź to się dowiesz.

Powstał i udał się do domu.

— Idź sam — rzekła Kasia z uśmiechem — zdaje mi się, że byłabym tam nie potrzebną.

Otworzyła drzwi i Harold ujrzał przed sobą Lilianę. Stała na środku pokoju, piękna jak zawsze i wytworna, ale delikatne jej lica były bardzo blade, usta drżały ze wzruszenia. Jemu serce zaczęło bić gwałtownie, zachwiał się i pochwycił za poręcz krzesła. Widział jak złożyła przed nim ręce.

— Czytałam twój list, Haroldzie — rzekła — wszystko się wyjaśniło. Nie zrozumiałeś mię.

— Mówiłaś pani wyraźnie...

— Byliśmy oboje w błędzie — przerwała hrabianka — nie wiedziałam, że to twój dom rodzinny, nie wiedziałam, że Kasia jest twoją siostrą, przysięgam ci na to.

— Cóż pani myślałaś? — zapytał.

— Wstyd mi się przyznać, Haroldzie, myślałam — że kochasz Kasię, że mnię zdradzasz dla niej; uniosła mię zazdrość... Dlaczego mi nie zaufałeś, dlaczego nie powiedziałeś mi wszystkiego?

— Byłem pewny, że zerwiesz ze mną natychmiast.

— Trzeba było wystawić mię na próbę? — rzekła z łagodną wymówką.

— Szczęście mię tak upoiło...

— Chcę ci powiedzieć kilka słów Haroldzie, — szepnęła — żal mi bardzo, że się obeszłam z tobą tak niegodziwie, ale w uniesieniu zazdrości nie zdołałam zapanować nad sobą.

— Słowa pani łagodzą ból, który mi zadałaś, nie uważasz mię już za zdrajcę, miss Liliano?

— Nazwałam cię zdrajcą w przekonaniu, że mi się przeniewierzasz dla innej, — rzekła uśmiechając się — bardzo mi przykro, że tyle przezemnie wycierpiałeś, czy przebaczysz mi Haroldzie?

— Czyż mógłbym mieć żal do ciebie! — zawołał.

— Posłuchaj mię Haroldzie, — rzekła zbliżając się do niego — przebaczenie twoje nie wystarcza mi, żądam więcej jeszcze... Nie pamiętaj tych słów okrutnych, powróć mi twoją miłość, oddaj znowu serce. Twoje pochodzenie nie może zerwać łączących nas węzłów, dziś kocham cię więcej niż kiedykolwiek, bo przekonałam się, że jesteś prawy i szlachetny. Bóg obdarzył cię geniuszem, to lepsze i cenniejsze niż tytuł i majątek. Przyrzekam kochać i szanować twoich rodziców, Kasię uważać za siostrę, nigdy się nie rumienić za ich pochodzenie; twój dom będzie odtąd moim domem, twoja rodzina moją, tylko powróć mi serce, kochaj mnie jak dawniej... najdroższy...

Harold z okrzykiem szczęścia pochwycił ją w objęcia. Jego zachwyt, wdzięczność i radość nie miały granic.

Liliana uścisnęła serdecznie dłoń starego wieśniaka, ucałowała matkę i Kasię.

— Nie lękajcie się, nie zabiorę wam syna — mówiła z uśmiechem — zyskacie tylko kochającą córkę.

Tego samego dnia Harold zawiózł hrabiankę do Ulverscroftu. Lord Andley nie odmówił zezwolenia na małżeństwo, ale był niezmiernie zdumiony.

— Nic tego nie rozumiem, Lili, — rzekł do córki — ty, najdumniejsza dziewica w Anglji, chcesz zaślubić syna wieśniaka?

— Kocham go, ojczulku, a miłość jest genialną jak inżynierja — potrafi ona połączyć dwa brzegi najgłębszej przepaści!

KONIEC.

DZIENNICZEK ZE ŚWIATA.

NIESŁYCHANA UCIECZKA.

Tribune, dziennik wychodzący w Sitner-City, w Nowym Meksyku, donosi, że pewien młody Meksykanin, który popełnił już poprzednio dziewiętnaście morderstw, schwytany po dwudziestej zbrodni morderstwa, został oddany pod sąd i skazany na śmierć. Usłyszawszy ten wyrok, roześmiał się głośno, mówiąc: „Zapewniam was moje chłopaki, że wam się egzekucja nie uda, bo do tego potrzebaby koniecznie mojej obecności, a ja wam ręczę, że mnie tam nie będzie“. W dniu 26 maja poprowadzono go pod strażą dwóch dozorców do Limoln, gdzie miała się odbyć egzekucja, i zamknięto więzienie. Dnia 28 z rana kajdanami, które miał na rękach, uderzył więzień tak silnie pilnującego go strażnika, że ten stracił przytomność, a zbrodniarz porwał jego pistolet, zabił go, wyszedł z więzienia i poszedł prosto na drugą stronę do mieszkania drugiego dozorcy, nieobecnego w tej chwili. Billy, tak się zowie ten zbrodniarz, zdjął ze ściany karabin dozorcy i usiadł spokojnie. W dziesięć minut nadszedł dozorca, nie przewidując żadnego niebezpieczeństwa. Nagle Billy wypalił z karabinu i strażnik padł nie wydawszy nawet krzyku. Billy wszedł do strażnicy, wziął sześć rewolwerów, karabin systemu Winchester o dwunastu strzałach i znaczną masę ładunków, a stanąwszy we drzwiach zaczął strzelać do nadbiegających tłumnie ludzi. Na widok karabinu rowolwerowego w ręku sławnego strzelca, nadbiegający pochowali w kieszenie rewolwery, które już trzymali gotowe do użycia. Bandyta korzystając z pierwszej chwili powszechnego pomięszania, zawołał, że gotów jest do ostatniej kropli krwi bronić swego życia i wolności, ale że nie ma zamiaru zabić żadnego z mieszkańców Limoln, owszem pragnie opuścić jak najprędzej to miasto, żąda tylko konia i pilnika. W chwilę potem stało się zadość temu podwójnemu życzeniu. Pilnikiem przeciąwszy kajdany u jednej nogi, Billy skoczył na konia i galopem zniknął z oczów tłumu, przerażonego tem zuchwalstwem bandyty, o którym wszyscy wiedzieli, że lewą ręką tak celnie strzela jak prawą i że nigdy nie cofnął się przed morderstwem.

☛ *Do dzisiejszego numeru dołączamy w nadzwyczajnym dodatku arkusz 1. najnowszego dramatu Mieczysława Schmitta pod tytułem: „Biała gołąbka.“*

Redakcja.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W. Maniecki.

BIAŁA GOŁĄBKA

DRAMAT W CZTERECH AKTACH

napisał **MIECZYSŁAW SCHMITT.**

OSOBY:

Jazowski, nauczyciel ludowy.
Leonia, jego córka.
Karol, jej narzeczony.
Gómnicki, rządca dóbr.
Anna, jego córka.
Artur hr. Słabędzki, właściciel „Równicy.“
Hrabina Alfonzyna, jego daleka krewna.
Emma, jej córka.
Oktaw Damski.
Wójt wsi Równicy.
1szy gospodarz.
2gi gospodarz.
3ci gospodarz.
1sza gospodyni.
2ga gospodyni.
Abraham Sztorc, arendarz.
Służący i wieśniacy.

Rzecz się dzieje we wsi Równicy.

AKT I.

Scena przedstawia obszerny dziedziniec, odgraniczony sztachetami. Po prawej stronie pałac z gankiem, po lewej ogród a pod drzewem wiejska kanapka, stolik i kilka krzeseł. Widok wprost na wieś a w dali krajobraz górski. Za sztachetami przechadzają się wieśniacy grupami. U drzwi wchodowych do pałacu stoją dwaj lokaje w bogatej liberyi.

Scena I.

JAZOWSKI, KAROL, później GÓMNICKI.

KAROL (oparty o drzewo po lewej).

Przyznam się wam ojcze, iż mi się już znudziło czekać na przybycie naszego jaśnie pana hrabiego i dziedzica.

JAZOWSKI (siedząc opodal).

Jakim tonem wymówiłeś te słowa...

KAROL.

A no, może i trochę drwiącym.

JAZOWSKI.

Mój kochany, chcąc z drugich szydzić trzeba być samemu czystym jak rosa niebieska... A czyż możemy o sobie powiedzieć, że jesteśmy wolni od wszelkich tych wad, które spostrzegamy i wyśmiewamy w drugich.

KAROL.

Jak co do czego. O naszym dziedzicu możnaby wiele i długo mówić... Ot, majątek zaniedbał... ani się tu pokaże...

JAZOWSKI (przerywa wstając).

Nie wynika jeszcze z tego byś miał prawo, nieznając go, wyrażać się o nim dwuznacznie. Mogły zajść okoliczności, które mu nie pozwoliły dotąd przebywać tu na wsi.

KAROL.

Wy bo ojcze uniewinniacie wszystkich zawsze i wszędzie.

JAZOWSKI.

Nie... tylko nie posądzam.

KAROL.

Na jedno to wyjdzie... Wam się zdaje, że ludzie to same anioły, a to ot, zwyczajnie, jeden taki, drugi siaki. Wyście ojcze jak to mówią człowiek słaby... i dla tego wszyscy z was tylko korzystają... Ciągną z was co mogą różni ludziska. Każden was jak nie okpi to obedrze... i koniec. A czy to kto widział coście wczoraj uczynili?

JAZOWSKI.

Każdy na mojem miejscu uczyniłby to samo.

KAROL.

Chciałbym widzieć takiego drugiego... Może wasz kolega z Rysiej woli... albo ten z Chlebówki, przystałby tak łatwo, ażeby mu chłopi zniżyli tę i tak lichą płacę...

JAZOWSKI.

Nędza i głód zmusiły ich do tego...

KAROL.

Tak, a wy co będziecie jedli...

JAZOWSKI.

Bóg łaskaw z głodu nie pomrzemy... Zresztą przebyło się już i gorsze czasy a jakoś do dzisiaj wyżyło się uczciwie... Ot, patrz, mam i domek własny i kawał pola...

KAROL.

A owoce z niego zjada wieś cała...

JAZOWSKI.

Nie prawda! Ludzie tu są biedni, ale uczciwi. O nie śmiej się... O tem mogę cię przekonać. Ziarno, które wpajałem w ich serca przez lat dwadzieścia, wydało już owoce. Nie są to już ludzie straceni dla kraju i dla społeczeństwa, a choć gruba powłoka nędzy i pracy zakrywa jeszcze przed naszymi oczyma ich czystego ducha przyjdzie czaś, czas może niedaleki w którym on ją przebije i stanie równy i wolny wśród wolnych! Patrz, czy widzisz ten obłok na niebie. Ożywczy promień słońca topi go prawie w naszych oczach. To przesąd niknący od gorącego tchu tysiąca serc ożywionych zdrowem ziarnem wiedzy. To ogień przeżerający ten czarny kir po za którym ujrzymy jaśniejący pokój, miłość i wolność...

GÓMNICKI (wchodząc z pałacu).

A o czem to, panie Jazowski, mówicie tak z zapałem? Czy może przygotowaliście jaką oracyę powitalną dla naszego pana?

JAZOWSKI.

Oracyę?... Nie... Na co mnie stać, to powiem. Czem chata bogata tem rada.

GÓMNICKI.

Jak tam myślicie... Panie Karolu, czy w lesie porządek?

KAROL.

Linie poczyszczone, drzewo wywiezione...

GÓMNICKI.

Prawda, że wywiezione. Abraham Sztorc mógłby nam coś o tem opowiedzieć (patrzy na zegarek). Już dwunasta a pana hrabiego jak nie widać tak nie widać (ziewa) Oooo... ciężka to służba (siada i po chwili) Lecz cóż to, panie Jazowski, słyszałem, że chłopy chcą wam pensyę obciąć...

KAROL.

A tak... i ojciec przystaje.

GÓMNICKI.

Takżeby nie miał rozumu! Zresztą teraz nie powinniście na to przystać prędzej niż kiedy indziej.

JAZOWSKI.

Dlaczego?... Przeciwnie tegoroczny głód...

GÓMNICKI (przerywa).

Bajki!... O patrzcie jeden w drugiego wyglądają jak rydze... Ale chcę mówić o waszej córce. Wydając ją zamąż potrzeba pieniędzy.

JAZOWSKI.

Zaraz jej jeszcze nie wydaję...

KAROL.

Ojcze... znowu zwłoka?

JAZOWSKI.

Nie zwłoka, ale nie ma nic spiesznego, dziewczę młode i tyś młody, możecie czekać.

GÓMNICKI.

Już jak tam jest to jest, ale muszę wziąść Karola w obronę. Ma racyę.,. po co mają czekać. Mając bowiem nie zły już kawałek chleba, może utrzymać żonę i dzieci, więc...

JAZOWSKI (przerywa).

Nie ma o czem mówić... Sprawę tę może rozstrzygnąć tylko moja córka.

GÓMNICKI.

Jak to?

KAROL.

Co wy mówicie ojcze — przecie Leonia nie chce zwlekać...

JAZOWSKI.

Nie dawniej jak wczoraj zagadnąłem ją, iż czas by już było pomyśleć o weselu, że się niepokoisz...

KAROL (żywo).

I cóż odrzekła...

JAZOWSKI.

Że nie ma nic spiesznego, że...

KAROL (przerywa).

To nieuczciwie z jej strony. Wszak już dwa lata minęło jak mi przyrzekła że będzie moją... A ja i czekam i czekam i do czegoż to wszystko doprowadzi.. Mogę w końcu stracić cierpliwość...

JAZOWSKI.

Będzie co będzie, córki mej przymuszać nie mogę...

GÓMNICKI.

No to lepiej wprost odmówić, jak tak chłopca uwodzić (na stronie) Dobry byłby i dla mnie na zięcia.

KAROL.

A jużci... raczej powiedzieć nie, jak zbywać mnie zawsze ładnemi słówkami.

JAZOWSKI.

Nie mów tak Karolu. Zawsze ci bowiem powtarzałem, że co się mej córki tyczy, li tylko od niej zależy...

GÓMNICKI.

To słabość niepotrzebna. Powaga ojcowska powinna kierować dziećmi. Niechby moja Anusia spróbowała się buntować...

JAZOWSKI.

Ależ panie Gómnicki, czy gdyby córka wasza rzekła: „ojcze mój, mnie tu tak dobrze u ciebie... ten domek, to świat mój cały; miłość twoja taka mi droga. Czemuż mam to wszystko porzucić tak prędko... zostaw mnie jeszcze przy twém sercu..." Czyżbyście, panie, ją surowo odepchnęli, mówiąc: Nie... porzuć to wszystko i idź z domu... bo ja twój ojciec tak chcę i rozkazuję!

GÓMNICKI.

Jeżeliby szło o jej przyszłe dobro, jak w tym wypadku, postąpiłbym tak niezawodnie. Bo nie ma tam wiele co mówić, ale takich ludzi jak Karol nie znachodzi się na śmieciu. Ot, macie za wiele słabości dla tego wypieszczonego gołąbka, jak ją tu nazywają i koniec.

KAROL (który był odszedł ku sztachetom).

Ojcze, widzę tam Leonię.

JAZOWSKI.

Przywiodła ją tu zapewne ciekawość.

GÓMNICKI.

Mojej córce nie pozwoliłem tu przychodzić.

KAROL.

Pójdę i namówię ją by odeszła...

GÓMNICKI.

A dobrze uczynisz... Nasz pan należy do tego rodzaju ludzi, iż nie dobrze już dla uczciwej dziewczyny, gdy się na nią popatrzy.

KAROL.

Idę a zarazem pomówię z nią ostatecznie. Na co się zaś zgodzi, czy i wy ojcze przystaniecie?

JAZOWSKI.

Dałem ci już dawno mą rękę i przyzwolenie. (Karol odchodzi) (do Gómnickiego) Czy macie jakie powody mówić i myśleć tak źle o naszym dziedzicu?

GÓMNICKI.

Źle... źle... Mówiłem tylko co do kobiet... a tego nie można mu brać wcale za złe. Lubi je bardzo... no a taki pan, coś... tegoś...

JAZOWSKI.

Nie rozumiem...

GÓMNICKI (machając ręką).

To już ja wam tego i nie wytłumaczę (wstaje). Ostrzegam jednak po przyjacielsku, pilnujcie dobrze córki a lepiej zmuście niech idzie za Karola jak najprędzej, wtedy on ją sobie będzie pilnował. Tacy panowie jak nasz dziedzic (mówi cicho) to na wsi... lubią bardzo wiejskie „gąski" jak nazywają nasze dziewczęta (odchodzi ku sztachetom i zagląda.)

JAZOWSKI.

(na stronie) Boże sprawiedliwy... co ten człowiek mówi. Lecz musi być uprzedzony jak wielu ludzi tego rodzaju (słychać szmer za sceną).

GÓMNICKI.

Jedzie już... jedzie... (otwiera bramę). Hej ludzie w szeregi. Wójcie, tu stańcie koło bramy...

Scena II.

Ci sami, WÓJT, (później) ARTUR, HRABINA, EMMA, OKTAW, KAROL, WIEŚNIACY I WIEŚNIACZKI.

GÓMNICKI.

Panie Jazowski, proszę tu bliżej... gdzie Karol... (woła) Karolu!...

KAROL (za sceną).

Idę... idę... (wbiega i staje koło bramy).

GÓMNICKI.

Coś tak osowiał?

KAROL.

E... nie pytaj pan nawet. Chyba przyjdzie człowiekowi oszaleć z tą dziewczyną.

GÓMNICKI.

Bo... porzuć ją raz... i koniec. Znajdziesz łatwo inną (cicho) lepszą a może i bogatą (mówi dalej cicho).

WÓJT (do Jazowskiego).

Wy się panie na nas nie gniewajcie... Bóg świadkiem, że bieda i nie ma z czego brać. Ale my nie wiedzieli, że wypuszczacie już w świat waszą białą gołąbkę... To zmienia rzecz... Ona się u nas urodziła i wzrosła, to nasza wspólna dziecina. To my się wczoraj zebrali i uradzili ażeby na wiano dla niej...

JAZOWSKI (przerywa).

Bóg wam zapłać, poczciwi ludzie... ale...

WÓJT (przerywa).

To już tak postanowiono i inaczej nie będzie... A tożby to było pięknie, żeby nasz gołąbek tak sobie furnął i poleciał. A kto nas w biedzie, w chorobie pilnował i ratował, a kto nam w kościele spiewał jak ptasze, a kto nasze dzieci tulił i pieścił?...

JAZOWSKI.

Słowa te wasze większą dla mnie nagrodą jak wszystkie inne. Wierzcie mi ludzie... to mi wystarczy... Dzięki Bogu żyję wśród was od tak dawna i biedy nie zaznałem. Nie chciejcie żebym się dziś stawał biednym. A byłbym nim przyjmując od was ten dar... bo bym musiał myśleć, że mnie chcecie zapłacić.

1. GOSPODARZ.

Toć nie ma co panie i mówić z wami... Pójdziem do naszej panienki.

2. GOSPODARZ.

Z nią to nam łatwiej pójdzie.

1. GOSPODYNI.

Jak pięknie poprosimy to będzie jak chcemy... To nasza dziecina, musi nas słuchać...

3. GOSPODARZ.

Ot bieda... poleci gołąbek...

2. GOSPODYNI.

Ale nie daleko... toż idzie za pana Karola...

GÓMNICKI.

Cicho... pan hrabia... (wszyscy się rozstępują Oktaw prowadzi pod rękę hrabinę za nim Artur Emmę). Witaj nam panie wśród rodzinnych progów (kłania się nisko a wszyscy krzyczą „witaj!")

ARTUR (rozglądając się).

Dziękuję... dziękuję...

HRABINA.

Boże, co za krzyk przeraźliwy (patrzy przez szkła).

OKTAW.

Może krople podać?

ARTUR.

Panie zmęczone... proszę więc do pokoi... (do Gómnickiego) zaraz powrócę (idzie z Emmą do domu).

HRABINA.

Emmo, czekaj na mnie... Panie Oktawie prowadź.

OKTAW.

Puśćmy się więc w ruch...

HRABINA (przystając).

Emmo czekaj... Co pan mówisz?

OKTAW.

Nic... (podnosi nogę i robi pierwszy krok). Puśćmy się w ruch... to znaczy chodźmy...

HRABINA.

Aa... Co za szczególny sposób wyrażania się.

ARTUR (ode drzwi).

Czekamy...

HRABINA (idzie z Oktawem powoli).

Nie pojmuję tej dziwnej chęci Artura.

OKTAW (przystając).

Jakiej?

HRABINA.

Dziwnej chęci wyjazdu na wieś... i zachęcania nas do tego...

OKTAW (idąc).

Lubi tak sielanki, a jako narzeczony panny Emmy...

HRABINA.

Piękna sielanka — krzyk, hałas i nudy (wychodzą).

GÓMNICKI (do Jazowskiego).

Szczególna jakaś osoba...

JAZOWSKI.

Przyszłość to dopiero okaże.